

Czerwcowy plebiscyt

Antoni Dudek

Fot. FORUM



Porozumienia okrągłego stołu to polski cud z końca XX wieku czy też druga Targowica? A „gruba kreska” premiera Mazowieckiego to dalekowzroczna wspaniałomyślność czy też raczej podszyta tchórzostwem zdrada?

To właśnie te dwa wydarzenia z 1989 roku budzą po dziś dzień największe emocje i wywołują biegunowo odmienne oceny. W ich cieniu pozostają znacznie mniej kontrowersyjne wybory parlamentarne z 4 czerwca 1989 roku, choć też podkreśla się ich nie w pełni demokratyczny charakter. A jednak były one ważniejsze od wszystkich późniejszych elekcji w dotychczasowych dziejach III Rzeczypospolitej. To właśnie ich rezultat – zaskakujący dla obu stron okrągłostołowego kontraktu – okazał się wstrząsem, którego nie wytrzymał zmurzały gmach komunistycznej dyktatury.

Wbrew pozorom, wyniku wyborów czerwcowych nie ustalono do

końca przy okrągłym stole. W ośrodku MSW w Magdalence, gdzie przyjęto najistotniejsze ustalenia dotyczące reform ustrojowych, porozumiano się jedynie co do tego, że wybory do mającego powstać Senatu mają być wolne, natomiast w przypadku Sejmu 65 proc. mandatów poselskich miało zostać zagwarantowanych dla PZPR i jej sojuszników. Zrobiono to, przypisując mandaty do trzech legalnych partii politycznych oraz trzech uznawanych przez władze PRL stowarzyszeń religijnych, natomiast 35 proc. zarezerwowano dla tzw. bezpartyjnych, co oznaczało zarówno działaczy opozycji, jak i osoby związane z władzami PRL. Najbardziej znanym kandydatem wśród tych tzw. bezpartyjnych bolszewików był rzecznik rządu Jerzy Urban, na czas kampanii wyborczej mianowany szefem Radiokomitetu. W rzeczywistości zatem całkowicie demokratyczna gra wyborcza toczyła się o cały Senat i ponad jedną trzecią miejsc w Sejmie. Do rywalizacji doszło też o resztę mandatów poselskich, ale toczono ją już w ramach swoistych kurii wyborczych Pol-

skiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego.

Błędy ekipy Jaruzelskiego

Dopiero seria błędów, które już po zakończeniu obrad okrągłego stołu popełniła ekipa Jaruzelskiego, a także nadspodziewanie skuteczna kampania Solidarności przesądziły o tym, że 4 czerwca komuniści i ich sojusznicy ponieśli miażdżącą klęskę. Na jej rozmiary zapracowali nie tylko ponadczterdziestoletnimi, monopolistycznymi rządami, ale i szeregiem fatalnych decyzji z wiosny 1989 roku. Pierwszy błąd popełniono już w kwietniu podczas uchwalania w Sejmie nowej ordynacji wyborczej. W odniesieniu do Senatu polegał on na przyjęciu systemu większościowego (po dwóch senatorów z 47 ówczesnych województw i po trzech z woj. katowickiego i warszawskiego), co wiązało się z nadziejami władz, że w małych, rolniczych województwach (czyli ponad połowie), gdzie struktury opozycji były słabe bądź w ogóle nie istniały, kandydaci obozu rządzącego pokonają konkurentów ▶

przywiezionych „w teczkach” z największych miast, będących bastionami NSZZ „Solidarność”. Później okazało się, że gdyby przyjęto w wyborach do izby wyższej system proporcjonalny, to obóz rządzący – przy tym samym rozkładzie głosów – miałby co najmniej kilkunastu senatorów. W dalszym ciągu byłby przegrany, ale nie w tak upokarzający sposób, gdyż jedynym senatorem wybranym spoza listy Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” został Henryk Stokłosa z województwa pilskiego, który wprawdzie w przeszłości był członkiem PZPR, ale usunięto go z jej szeregów, oskarżając o małwersacje.

W przypadku Sejmu błędem ekipy Jaruzelskiego okazało się forsowanie tzw. listy krajowej po tym, gdy Solidarność odmówiła skierowania na nią swoich kandydatów. W konsekwencji całą listę obsadziło 35 prominentnych przedstawicieli aparatu władzy PRL, a ich wybór uzależniono od uzyskania ponad połowy głosów w skali całego kraju, nie przewidując w ogóle procedury na wypadek, gdyby któremuś to się nie udało. A nie udało się aż trzydziestu trzem, co doprowadziło do konieczności kompromitującej nowelizacji ordynacji między pierwszą a drugą turą wyborów. Ostatecznie brakujące koalicji rządzącej 33 mandaty przypisano do poszczególnych okręgów wyborczych i obsadzono w drugiej turze wyborów, 18 czerwca, gdy frekwencja wyborcza wyniosła zaledwie 25 proc. (w pierwszej turze do urn poszło 62 proc. Polaków). Inna rzecz, że dopiero tego dnia obsadzono niemal wszystkie mandaty koalicji rządowej, ponieważ w pierwszej turze udało się do zaledwie trzem osobom, które uzyskały wówczas powyżej 50 proc. głosów w swoim obwodzie wyborczym. Odwrotny był rezultat kandydatów solidarnościowych, którzy już w pierwszej turze obsadzili 160 ze 161 mandatów sejmowych, które mogli w tych wyborach zdobyć bezpartyjni.

Kolejny błąd kierownictwa PZPR popełniło, kiedy zaniechało kontroli nad procesem wyłaniania własnych kandydatów na posłów i senatorów. Oficjalnie miało to przekonać obywateli do szcze-

rego demokratyzmu ekipy Jaruzelskiego, ale w rzeczywistości przypominało wypuszczenie z rąk kierownicy rozpedzonego pojazdu. Przeciwno liczącej stu kandydatów do Senatu drużynie Lecha Wałęsy generałowie i ich sojusznicy z partii satelickich wystawili ponad trzysetu swoich ludzi. W rezultacie musieli się oni podzielić głosami już i tak kurczącego się gwałtownie elektoratu obozu rządzącego. Władze do końca ludziły się, że pozyskają większość z około jednej trzeciej wyborców, którzy w kolejnych badaniach socjologicznych deklarowali, że nie wiedzą, na kogo oddadzą głos. W tym celu zdecydowano się w pierwszych tygodniach bardzo krótkiej kampanii – realnie prowadzonej od końca kwietnia – oddać pole opozycji, by ludzie zmęczeni się jej agitacją, a następnie w ostatnich kilkunastu dniach przed 4 czerwca pozyskać ich zmasowanym uderzeniem propagandowym.

Koncepcja ta, zapożyczona przez specjalistów z Komitetu Centralnego PZPR z zachodnich podręczników marketingu politycznego, okazała się kompletnie nieprzystosowana do polskich realiów z 1989 roku. W rzeczywistości bowiem 4 czerwca odbył się w Polsce plebiscyt ubrany w szaty wyborów parlamentarnych. Zadano w nim Polakom tylko jedno pytanie: czy jesteś za kontynuacją PRL? Ci, którzy odpowiadali na nie twierdząco – a była to wbrew pozorom znacząca, choć wyraźnie mniejsza część społeczeństwa – poparli kandydatów PZPR i jej sojuszników. Przeciwnicy gremialnie oddali głosy na kandydatów Solidarności, ignorując niemal całkowicie kandydatów przedstawionych przez inne formacje opozycyjne, takie jak Konfederacja Polski Niepodległej czy Unia Polityki Realnej. Szerzej o tym zapomnianym aspekcie wyborów czerwcowych pisze Paulina Codogni w znakomitej monografii *Wybory czerwcowe 1989 roku. U progu przemiany ustrojowej*, wydanej w tym roku przez IPN.

Kampania koalicji rządowej pozbawiona była dynamiki, ponieważ jej organizatorzy – ludzie aparatu partyjnego – nie chcieli bądź nie potrafili sprostać

wyzwaniom, które rzuca prawdziwa akcja wyborcza. W organizacji zebrano powielano fatalne wzorce z przeszłości. Kandydaci o swoich programach czytali z kartek, co z reguły trwało tak długo, że na pytania z sali nie starczało już czasu. Zdarzały się spotkania w rodzaju tego, które później opisał w swoich wspomnieniach gen. Józef Kuropieska, kandydujący w województwie radomskim do Senatu. Uczestniczyło w nim pięciu kandydatów koalicyjnych i... siedmiu wyborców. Komentując relację Kuropieski, gen. Jaruzelski stwierdził dwa lata później: „Kiedy czyta się jego opis, jak to wyglądało, jak kampanię organizowała partia, Komitet Wojewódzki, inne instancje, to rozpacz ogarnia. W soboty i w niedziele przedwyborcze już ich w ogóle nie było, nie interesowali się sytuacją naszych kandydatów, a jednocześnie byli przekonani, że łatwo się wygra. [...] A więc indolencja, pasywność, przekonanie, że i tak wygramy, bo się przyzwyczailiśmy do wygrywania zawsze”.

Zwycięstwo Solidarności

Przeciwieństwem tego była pełna dynamizmu kampania wyborcza Solidarności, która jednak – z uwagi na słabość struktur organizacyjnych opozycji – poza wielkimi miastami była możliwa tylko dzięki poparciu sporej części duchowieństwa katolickiego. Żłudzeniem okazała się wiara ekipy Jaruzelskiego, że uchwalona tuż przed wyborami ustawa o stosunku państwa do Kościoła, spełniająca jego podniesione od lat żądania, zneutralizuje księży.

Rozmiary wygranej Solidarności i przegranej władz w poszczególnych regionach były oczywiście zróżnicowane, a ich układ tworzył nową geografie polityczną Polski. Największe poparcie kandydaci NSZZ „Solidarność” uzyskali w województwach Polski południowo-wschodniej (woj. rzeszowski, nowosądecki, zamojski, przemyski, krośnieński i tarnowski) oraz na Dolnym Śląsku, natomiast relatywnie najslabiej wypadli w województwach północno-zachodnich: pilskim, leszczyńskim, bydgoskim i śląskim. Kandydaci Komitetu Obywatelskiego triumfowali na obszarach społecznie



Szeryf z polskim oficerem w tle

Western *W samo południe* był życiową rolą Gary'ego Coopera. Aktor zagrał postać samotnego szeryfa, opuszczonego przez wszystkich, jedyne go mieszkańca broniącego honoru całego miasta. Paradoksalnie ten filmowy przykład zaprzeczenia solidarności społecznej stał się po 1989 roku ikoną wyborów w Polsce. Wymowne, nieprawdaż? To jasne, przecież wszyscy potrzebujemy bohaterów: wierzymy wciąż w nowych, bo zawsze mieliśmy ich w polskiej historii bardzo wielu, nie tylko romantycznych. Dziś mogę śmiało powiedzieć, że Gary Cooper nie był jedyną inspiracją do stworzenia plakatu. Podświadomie nosilem w pamięci wizerunek mojego dziadka, kapitana Janusza Sarneckiego z 25. Kaliskiej DP, poległego 18 września 1939 roku w niemieckiej zasadzce w Śladowie nad Bzurą. Dopiero po latach dostrzegłem uderzające podobieństwo sylwetek Gary'ego Coopera i Janusza Sarneckiego, *nota bene* urodzonych w tym samym 1901 roku. Zdjęcia oficerskie, które otrzymałem kiedyś od mojego ojca, ukazywały figurę kogoś ważnego, bardzo bliskiego, którego nigdy nie dane mi było poznać. Uderzające podobieństwo fotograficznego ujęcia, ten sam krok, cień na twarzy pod polską rogatywką jak pod rondem kapelusza – wszystko to sprawiło, że nie mam dziś wątpliwości, jak ważna była i jest ojczyzna pamięć i pokoleniowa tożsamość.

Na moim plakacie fabularna postać ze znanego amerykańskiego westernu jest rozpoznawalnym powszechnie symbolem niezłomnej woli człowieka miłującego wolność. Tak miało być. Ale to nie fikcyjna, lecz rzeczywista postać oficera przedwojennego Wojska Polskiego, który poległ na polu chwały w obronie Rzeczypospolitej, jest prawdziwą duszą tej wizji.

Tomasz Sarnecki



► Janusz Sarnecki z żoną Heleną na spacerze, Warszawa ok. 1934 roku (w stopniu porucznika artylerii 8. p.ał, komendanta klasy II baterii szkolnej w toruńskiej SPArT)



► Janusz Sarnecki z synkiem Janem, rodzinny Płock, maj 1938 roku (w stopniu kapitana dyplomowanego intendenty, szefa intendenty w sztabie kaliskiej 25 DP gen. Franciszka Altera)

silniej zintegrowanych, zamieszkivanych przez ludność o wyższym poziomie religijności. Natomiast koalicja najlepiej wypadła w Polsce zachodniej i północno-zachodniej, gdzie średnie poparcie dla kandydatów z listy krajowej wyraźnie przekroczyło połowę, dochodząc do 62 proc. w województwie piłskim oraz 61 proc. w zielonogórskim i koszalińskim. Ten charakterystyczny podział Polski na dwa główne obszary o odmiennych pre-

ferencjach politycznych miał się okazać dosyć trwałą. W wyborach, które odbywały się w następnych latach, na północnym zachodzie większe poparcie uzyskiwali kandydaci szeroko rozumianej lewicy, natomiast na południowym wschodzie dominowała prawica.

„Dla nas najważniejsze jest wygranie wyborów, a nie styl, w jakim je wygramy. Nie możemy stracić władzy przy pomocy kartki wyborczej” – mó-

wił jeszcze w lutym 1989 roku minister spraw wewnętrznych gen. Czesław Kiszczak. Cztery miesiące później okazało się jednak, że dyktatura komunistyczna nie wytrzymała ciężaru milionów kartek wyborczych wrzuconych do urn przez Polaków. 🗳

prof. Antoni Dudek – politolog i historyk, zajmuje się dziejami najnowszej Polski oraz jej systemem politycznym; ostatnio opublikował *Instytut. Osobista historia IPN* (2011)